

S. MAŁGORZATA
CHMIELEWSKA

SPOSÓB NA
(CHOLERNIE)

#SZCZĘŚLIWE
ŻYCIE

ROZMAWIAJĄ
BŁAŻEJ STRZELCZYK
PIOTR ŻYŁKA

WYDAWNICTWO WAM

Spis treści

- 7 **Wstęp**
- 13 **Cerowanie świata**, czyli o czym my tu będziemy rozmawiać
- 21 **Życie**, czyli trójka z muzyki, drewniany wózek, ekskomunika dziesięciolatki, wymodlone papierosy i Wigilia na Dworcu Centralnym
- 61 **Ludzie**, czyli kochany świrus z autyzmem, Święta w miniówie, plotkary na wiosce, poczet świętych polskich i miłość 24 godziny na dobę
- 97 **Bieda i pomaganie**, czyli pokręcone życiorysy, ksiądz od mycia kibli, sprawiedliwe dzielenie, spojrzenie w oczy ubogiemu i życie w Republice Biedaków
- 145 **Wiara**, czyli zawsze czekająca miłość, prostytutka w niebie, pomysły prosto z kaplicy, modlitwa bez pudrowania i gorszący święci
- 207 **Kościół**, czyli Jezus zamknięty w świątyni, odpowiedzialność za sąsiadkę, katechetka na harleju, proboszcz burzący mur przed kościołem i porąbana katolicka rodzinka
- 239 **Sposób na cholernie szczęśliwe życie**, czyli zbawienne nienasycenie, prosta przyzwoitość, herbata na $\frac{3}{4}$ szklanki, randki na Facebooku, Bóg wyrrywający sobie włosy i miłość bez biznesplanu
- 265 **Marzy mi się Polska fundamentalnie katolicka.** Zgłupiałam? Może.

Wrażliwość: czasem trzeba tupnąć nogą

Użyła kiedyś siostra świadomie zdania „Działasz mi na nerwy”?

Nie. To nie jest mój język.

A jak siostra opieprza?

Zależy od tego, czy to jest kobieta, czy mężczyzna, kim jest ten człowiek i w jakich z nim jestem relacjach.

Jest siostra ostrożna w opieprzaniu.

Jeślibym na ogromnie znerwicowaną, mającą osobiste problemy panią Anię ryknęła, toby pewnie popełniła samobójstwo. Natomiast jeśli to jest nasz stary mieszkaniec Stasiak, któremu się nie chciało, to na ogół żartem to załatwiam. Wszystko zależy od skali wykroczenia. No chyba że ktoś celowo robi złośliwie, to dostaje grubszy opieprz.

Czyli osoba pomagająca biednym to nie musi być taki delikatny, wrażliwy anioł do rany przyłóż.

Myślę, że delikatność i wrażliwość są niezbędne, natomiast na pewno nie naiwność. Nie zapomnę nigdy historii naszego Wojtka Inżyniera.

On rzeczywiście jest inżynierem, człowiekiem niezwykle kulturalnym, pochodzi z bardzo dobrej rodziny. Więc jak trafił do nas, to wymiana koła zaczynała się od dziesięciu uprzejmości i na ogół na tym kończyła. Któregoś dnia słyszę, jak Wojtek po raz pięćdziesiąty o coś prosi i po raz pięćdziesiąty nie zostaje to wykonane. Wtedy stanął na schodach, powiedział to, co powiedział, czyli użył słowa „kurwa”, i efekt był natychmiastowy. I mówię: „Widzisz, nadajesz się”. Oczywiście nie chodzi o to, by rzucać wulgarnymi słowami, ale czasami trzeba

tupnąć nogą. Sposób tupnięcia zależy od okoliczności, naszych własnych emocji, pomysłu, jaki mi w danym momencie przyjdzie do głowy.

Siostra przeklina.

Bywa, że w ogromnych emocjach używam wulgarnych słów, ale nigdy nie robię tego personalnie. Nie wolno nikogo poniżać, choćby nie wiem co. Nigdy nie wolno do kogoś powiedzieć: „ty dziwko, ty złodzieju, ty łajdaku”! To jest niedopuszczalne. No chyba że złapałam kogoś na kradzieży, za rękę, ale jeśli to dotyczy przeszłości, to absolutnie nie.

Ktoś chory psychicznie nie zniesie krzyku, bo jak krzykniesz, to on się kompletnie rozsypie, podobnie człowiek niepełnosprawny intelektualnie, chociaż czasami ostrzejszy ton głosu może go postawić do pionu. Z Arturem tak jest. Bywa, że nie ma już wyjścia i żeby przerwać jakiś ciąg, w który wpada, muszę zareagować niezwykle gwałtownie.

Artur czasem potrafi dopiec.

Artur coś przez swoje zachowanie chce wyrazić. Chce zwrócić na siebie uwagę, bo jest zazdrosny o mnie.

Ale nie wszystko musi być podporządkowane jego chorobie. Nie można się dać w to wciągnąć i wtedy jest ostrzejsza reakcja w postaci krzyku. Ale to może spowodować atak agresji, bo on na krzyk reaguje lękiem, a z powodu lęku staje się agresywny. Czasami trzeba dopuścić do tego ataku agresji, żeby się wyszalał, i potem on się uspokaja i przeprasza.

Pomaganie: Panie Boże, przesadziłeś

Czy pomagając od tylu lat, miała siostra jakieś spektakularne porażki?

Na pewno popełniłam wiele błędów, ale czy porażki?

Chciałaby coś siostra zmienić w swoim życiu?

Z tą wiedzą, którą mam obecnie, na pewno bym coś zmieniła, na pewno zrobiłabym coś lepiej, ale z wiedzą, którą miałam lat temu dziesięć, piętnaście, robiłam to, co potrafiłam w tamtym momencie najlepiej. Uczymy się przez całe życie. Tak więc nie mam jakichś spektakularnych porażek, jak też nie mam spektakularnych sukcesów. Po prostu robię to, co do mnie należy, i staram się to zrobić jak najlepiej.

Czego siostra nauczyła się przez tyle lat pomagania?

Co to znaczy miłość. Tego mnie Pan Bóg uczy poprzez ludzi i poprzez wydarzenia. Od Artura nauczyłam się mnóstwo, ale oczywiście także od moich przyjaciół, braci we wspólnocie, ludzi Kościoła, od ludzi, których spotykam, od ubogich, z którymi jestem, od kobiety, którą spotkaliśmy dzisiaj, od niej się też uczę.

Ta kobieta mieszkała pół życia w kurniku. Dziś wspólnota wybudowała jej dom.

Ona, jak każdy człowiek, popełniała w życiu błędy, ale to nie jest człowiek, który by narzekał. Nawet jak mieszkała

w kurniku, też nie narzekała i wręcz broniła tych, którzy z urzędu powinni byli jej pomóc. To jest taka postawa życiowa, która – myślę – pozwala jej przeżyć wszelkie możliwe trudności. I to, że swojej starej babci nie ode-słała do domu pomocy społecznej, dlatego że babcia jej pomogła, gdy ona była w trudnej sytuacji – to nie jest codzienny gest. Zwykle się pozbywamy starych ludzi, którzy są dla nas kłopotem i obciążeniem.

Skąd się bierze ta pogoda ducha, którą mają członkowie waszej wspólnoty?

Trudno mi powiedzieć, natomiast generalnie ludzie, którzy przeszli przez wielkie cierpienie, przez wielkie trudności, którzy przekonali się, co tak naprawdę liczy się w życiu, bardzo często są w miarę pogodni. Nie ryczą ze śmiechu, bo pogoda ducha to nie jest ryk ze śmiechu, „Alleluja, cha, cha, cha, świat jest piękny”. Świat jest też bardzo brzydki.

Czy siostra czuje się samotna?

Myślę, że samotność to miejsce, które zostawiamy Panu Bogu. Oczywiście, czasami są takie chwile, kiedy bardzo bym chciała z kimś pogadać czy żeby ktoś mi pomógł. To jasne, jak w każdym życiu. Ale żeby się czuła całkowicie samotna i opuszczona, to nie, bo mam współpraci i współsiostry, których kocham, z którymi się bardzo głęboko przyjaźnię i z którymi łączy mnie jeden cel. Wiem, że mogę zawsze na nich liczyć. To, że Marcysia dzisiaj została, a ma ferie i mogła być zupełnie gdzie indziej, to przecież dlatego, że chce mi pomóc. To są te wzajemne więzi, które się tworzą, jeśli się lata żyje razem i realizuje jakiś wspólny cel.

Siostra zanurza się w cierpieniu, to musi generować jakieś emocje.

To nie jest tak, że cierpienie mnie nie rusza, bo gdyby mnie nie ruszało, tobym nie robiła tego, co robię, nie starała się go minimalizować.

Oczywiście nigdy go nie zlikwiduję i nie mam takich ambicji, natomiast robimy we wspólnocie to, co możemy. Nie czuję się w tym samotna, bo mam ludzi, przyjaciół, z którymi wiąże mnie wspólny cel. To jest sieć, którą ciągniemy razem.

Siostra stała się uboga z wyboru.

Bogu dzięki, dzisiaj o wpół do dziewiątej wieczorem we wszystkich domach jest co jeść, jest ciepło i każdy ma gdzie spać, nawet jeśli jest to spanie na kanapie w jadalni. W związku z tym nie mogę powiedzieć, że żyjemy w nędzy. Bogu dzięki nie jest tak, że jutro nie będzie co do garnka włożyć. Mam świadomość, że przynajmniej jutro będzie, co daje pewien oddech, aczkolwiek nie mam poczucia bezpieczeństwa, pewności, że tu za chwilę nie popsuje się piec centralnego ogrzewania albo nie zabraknie prądu w Zochcinie, co spowoduje odcięcie wszystkich źródeł ciepła, a jest ich sześć czy siedem, co w rezultacie spowoduje konieczność ewakuacji ludzi.

To jest ciągły niepokój. Każdy z nas ma takie niepokoje, bo one są związane z życiem. Nasze ubóstwo polega na ciągłym braku stabilności z wyboru, nie z konieczności. Polega na konieczności odpowiadania na dziwne potrzeby. Bycia do dyspozycji dzień i noc. Rzeczywiście spotykamy się z bardzo dużym ludzkim cierpieniem, pokręconymi życiorysami.

Jak sobie z tym radzić?

Sam człowiek sobie nie poradzi. To niesie Chrystus, my tylko idziemy razem z Nim. Inaczej się nie da. Jeśli sobie powiemy, że jesteśmy tylko Jego współpracownikami, to do czego służy szef? Szef zwykle służy do tego, żeby rzucać na niego wszelkie kłopoty, problemy, frustracje i niepowodzenia. I takim szefem jest Pan Jezus.

Pan Jezus nie bez powodu wysyłał po dwóch, ale to jest trudne do zrozumienia, bo młodzi ludzie, którzy do nas przychodzą, żeby pomagać, są głęboko przekonani, że sobie poradzą sami. A to da się robić wyłącznie we wspólnocie i nie powinno się nawiązywać indywidualnych przyjaźni z żadnym mieszkańcem, bo to zwykle prowadzi do kolejnych nieszczęść. I to jest rzecz bardzo trudna dla młodych ludzi, którzy się zaprzyjaźniają z niektórymi naszymi mieszkańcami, rozbijając równowagę w grupie, tworząc jakby podgrupy. A poza tym są podatni na manipulację i sami nie potrafią udźwignąć nieszczęścia tego człowieka, z którym się zaprzyjaźniają.

Dlatego my bez przerwy się porozumiewamy, bez przerwy omawiamy różne sprawy, spotykamy się chociażby po to, żeby się wzajemnie wysłuchać i sobie doradzić, co zrobić z jakimś człowiekiem, jak mu pomóc, jak zareagować. Samemu się nie da, a poza tym nie da się bez Chrystusa, to nie miałyby zresztą sensu. Przede wszystkim liczy się to, że jesteśmy z Chrystusem, dla Chrystusa i tak naprawdę to On to wszystko niesie, On jest właścicielem ubogich i nas. Cały czas Mu to mówię. Mówię Mu: „no, teraz jako właściciel, Panie Boże, przesadziłeś, w związku z powyższym personel się wycofuje i działaj!” Na ogół to skutkuje.

A budzi się siostra czasem rano i mówi: „Panie Boże, jestem zmęczona, trochę za dużo tego, mam już dosyć”?

Ja Mu to powtarzam co chwilę, gdybym tego nie robiła, toby ładował na nas jeszcze więcej roboty, a jak Mu się o tym mówi, to może w tych niebiańskich kadrach w dziale logistyki trochę popracują, żeby przerzucić parę transportów z problemami na kogoś innego. W końcu nie jesteśmy jedyni, jest mnóstwo ludzi, którzy starają się w ten czy inny sposób polepszać ten świat. Natomiast żebym powiedziała: „mam tego absolutnie dosyć, zabieram zabawki i idę do domu”, to nie, bo to jest zabawne, naprawdę. Bywają rzecz jasna momenty mniej zabawne. Ale to jest na pewno wariactwo. Jak zresztą wszystko, co nas otacza. Żeby naprawdę kochać żonę na przykład, kimkolwiek by ona była, trzeba być zdrowo stukniętym.

Jest wesoło.

Miłość, która nie jest stuknięta, to nie jest miłość, to jest jakieś przyzwyczajenie albo rutyna.

Dzisiaj na przykład było parę dobrych momentów.

Czy nie uważacie, że przepięknie jest, jak sobie siedzi nasz ksiądz, filozof z wykształcenia, przy kaloryferku, posprzątawszy wcześniej o piątej rano ubikację, i dyskutuje z naszym nowym mieszkańcem, który śmierdzi i nie do końca nawet potrafi wyrazić, co myśli? I ksiądz, który pali marlboro, podaje temu, który w życiu takich papierosów nie palił, i palą razem te marlboro w korytarzyku przy kaloryferku w jakiejś zapadłej wiosce. Nie uważacie, że to jest zabawna scena? Bardzo zabawna.

Albo Marcysia, która ubrała fartuszek, żeby robić tutaj

za gosposię? Albo Artur, który właśnie przed chwilą zabrał wam kilka książek. Ciągłe nam podbiera zapalniczki i przez to się wściekamy, bo nie mamy jak zapalić fajek.

Tylko zrozumcie, że to pozbawienie zapalniczek właśnie nas zubożyło, a jednocześnie przybliżyło o krok do nieba.

Artur nas doskonale uczy ubóstwa, już nikt nie jest pewny swojej własności, niczego.

A pamiętacie, jak dziś jechaliśmy samochodem? Stara zakonnica wiezie dwóch młodych dziennikarzy, którzy się trzęsą ze strachu, bo ona zawsze zahacza o wystające krawężniki.

Siostra nie umie jeździć na rondzie.

Co wy mi tu wygadujecie. Umiem, tylko to rondo w Ostrowcu jest głupio skonstruowane. Nie ma tam wyjazdu w prawą stronę, tylko jest taki róg, więc ja go przejeżdżam i przy wyjeździe też sobie skracam drogę. Widziałam jednak wasze miny, nagle ogarnęła was niepewność, poniekąd słusznie. Ale i tak pewnie byliście w lepszej sytuacji niż pewien wiceprezydent miasta stołecznego Warszawy, któremu staranowałam drzwi w gabinecie. Najpierw odepchnęłam sekretarkę, potem z kopa otworzyłam drzwi, siadłam i zaczęłam mówić, co się dzieje. Następnie, ponieważ on palił, powiedziałam mu, że ja też zapalę, na co on niemal wpadł pod biurko, a potem powiedziałam, że jedziemy natychmiast do naszego schroniska dla chorych. I co zabawniejsze, on się zgodził. Powiedział, że w życiu nie przeżył takiego strachu, jak jadąc ze mną, gnającą przez całe miasto. Był to bardzo przyzwoity i porządny człowiek i bardzo

pomagał bezdomnym jako wiceprezydent, potem jako wojewoda. Nazywał się Leszek Mizieliński.

W szarej codzienności takich wydarzeń mamy bardzo wiele, tylko trzeba je zauważyć. Poza tym trzeba mieć dystans i poczucie humoru, tu nie ma innej drogi. Jeśli nie masz, to musisz się nauczyć, i to szybko. Inaczej życie cię zmiecie. I nie traktować siebie zbyt serio. A żeby się nie traktować zbyt serio, trzeba zahaczyć o Kościół. Wtedy człowiek się zobaczy we właściwych proporcjach.

Wykluczeni: nie ma „biednych z wyboru”

Kto w Polsce jest wykluczony?

Najłatwiej byłoby powiedzieć, że to wyłącznie bezdomni i nędzarze. Tymczasem to jest tylko fragment prawdy o polskich wykluczonych. Nasze społeczeństwo jest kastowe i podzielone. Ma klasy, do których należą ci, którym się powiodło, oraz ci, którzy z wszystkich systemów powypadali. Więc wykluczonymi są także ci ludzie, którzy balansują pomiędzy ubóstwem, biedą, z którą da się żyć, i nędzą. To są bardzo różne osoby. To są dzieci z rodzin bezrobotnych, to są dzieci z rodzin, w których jest ktoś uzależniony.

Młodzież?

Też. Młodzież, która urodziła się w wykluczonych rodzinach. Wystarczy przejechać się po miejskich osiedlach, żeby zobaczyć, z jaką skalą mamy do czynienia. To są ogromne rzesze młodzieży, dla której nie ma pracy. Włóczą się pomiędzy podwórkiem a supermarketem i nie ma dla nich żadnej nadziei, ponieważ tak naprawdę oni dobrze wiedzą, że my ich jako społeczeństwo nie potrzebujemy. Nie ma dla nich pracy, nigdy nie będą mieli własnego mieszkania.

Mamy taką rodzinę, gdzie jedna osoba pracuje, reszta jest niepełnosprawna. Człowiek ten pracuje w hucie, gdzie pensje wypłaca się niezbyt regularnie, bo huta ma przestoje. Pozostałe osoby mają niewysokie zasiłki stałe lub rentę socjalną. Z tego nie da się, zwłaszcza zimą, przeżyć, bo trzeba zapłacić za prąd, węgiel i tak dalej. Wykluczeni to nie tylko bezdomni, często są to ludzie

Świętość: wielu będziesz gorszyć

Co to jest świętość?

Myszę, że to jest bycie jedno z Chrystusem i robienie tego, czego On chce. A On chce zawsze dobra dla nas i dla innych ludzi. Świętość nie oznacza, że nie popełniamy błędów, ale że jeśli popełnimy błąd, to natychmiast wracamy do Boga i idziemy razem dalej. Chcemy być cały czas do Jego dyspozycji. To jest świętość. Nie ma innego celu, jak bycie z Nim. A bycie z Nim tu na ziemi oznacza bycie z innymi ludźmi, bycie miłością dla innych ludzi.

W Zochcinie opowiedziała nam kiedyś siostra historię, z której wynika, że święci bywają uznawani za świrów. W rozmowie z Michałem Okońskim użyła siostra mocnego sformułowania, że świętość często łączy się ze zgorszeniem. Wydaje się, że między świętością a chorobą psychiczną granica jest cienka.

Byli święci chorzy psychicznie. Rzecz w tym, że wszystko, co wystaje ponad przeciętność, jest traktowane jako podejrzany odchył od normy. Świętość to jest coś więcej niż przeciętność, wobec tego siłą rzeczy będzie stawała w opozycji do nijakości. Jeśli mówiłam o zgorszeniu, to nie w postaci latania nago czy robienia czegoś złego, tylko chodziło mi o to, że dążąc do świętości, musimy tak czy inaczej przeciwstawić się pewnym schematom. Nawet w Kościele. W związku z tym dla wielu możemy być źródłem zgorszenia. Pan Jezus jadł z celnikami i nierządnicami i to było źródłem zgorszenia dla faryzeuszy. Tak zawsze było, jest i będzie. Wystawanie ponad przeciętność zawsze wywołuje reakcję przeciętnych.

I usiłują oni tego, który ponad nich wyrasta, ściągnąć w dół, przystosować z powrotem do swojej normy.

O jakie wystawanie ponad przeciętność chodzi?

Chodzi o ponadprzeciętne praktykowanie miłości Boga i bliźniego. To powoduje zgorszenie i oburzenie. Taki człowiek jest traktowany jak świr. Biskup świętego Franciszka twierdził, że ten chłopak z Asyżu to jednak przesadza. A jednak to nie biskup został świętym, lecz Franciszek.

Święty to trochę prowokator?

Świętość siłą rzeczy prowokuje do myślenia. Natomiast na pewno celem życia świętego nie jest prowokacja. Aczkolwiek w chrześcijańskiej tradycji wschodniej jest pewien rodzaj świętych szaleńców, jurodiwych, którzy celowo prowokowali swoim zachowaniem i strojem. Ale to nie była prowokacja ku zgorszeniu, tylko zmuszenie do myślenia, radykalne postawienie na wartości, które ludzie zbyt często stawiają na ostatnim miejscu.

Również Ojcowie Pustyni bardzo często prowokowali swoich uczniów – w dobrym tego słowa znaczeniu, wskazywali swoim życiem i gestami, czasami dziwnymi, na istotne sprawy. I to do ludzi przemawiało. Świętość może mieć różne oblicza. Byli święci królowie, byli święci wariaci, byli też tacy, którzy mieli padaczkę. Mam nadzieję, że mój Artur również zostanie kiedyś świętym, chociaż jest upośledzony i niepełnosprawny. On bardzo wiele rzeczy rozumie. Intuicyjnie wyczuwa, kto to jest papież. A jego historia przyjęcia Pierwszej Komunii jest

przedziwna. W pewnym momencie wymusił na księdzu podanie mu komunii. Ksiądz usiłował go przekupić obrazkami (a trzeba wiedzieć, że Artur obrazki kocha!). Artur przyjął obrazki, schował do kieszeni, ale stał dalej i odszedł dopiero wtedy, kiedy ksiądz dał mu Eucharystię.

Ile miał wtedy lat?

Czternaście?

Artur w ogóle się spowiada?

Nie. Natomiast doskonale wie, co się dzieje w momencie komunii. Żegna się, jakoś się modli po swojemu. Wie, co się dzieje w kościele, wie, że tu jest Bozia. Doskonale wie, że Bozia go kocha. Wie, kto to jest Ojciec Pio, Matka Teresa z Kalkuty. Nikt mu tego nigdy nie tłumaczył.

Z jednej strony mówimy, że wszyscy jesteśmy do świętości powołani, a z drugiej strony święci gorszą, uznawani są za prowokatorów, prawie obłąkanych. Czy my ich w Kościele nie cenzurujemy?

Trochę tak, aczkolwiek były całe zastępy świętych, którzy – począwszy od świętego Józefa i Matki Bożej – nie prowokowali niczym, żyli najzwyczajniej w świecie, prosto pracowali. Błogosławiona Aniela Salawa to była zwykła służąca, niczym nie prowokowała. Takich są miliony. Na swoim blogu staram się pokazywać również i tego typu przykłady: lekarzy, studentów, szewców, piekarzy. Ich zachowanie nie odbiega od przeciętne oprócz tego, że w sposób niezwykle kochali ludzi

i Pana Boga. Dzielili się tym, co mieli, dbali o najsłabszych, modlili się za cały świat, ale to nie były jakieś spektakularne gesty. Znosili prześladowania, upokorzenia i cierpienia z pogodą ducha, oddając je Panu Bogu. I tak naprawdę to jest świętość dla nas wszystkich. Nie bardzo wyobrażam sobie Błażeja na słupie czy biegającego półnago po Krakowie i wzywającego do modlitwy. Święty dziennikarz? Czemu nie? I to w każdej redakcji – im trudniejsza redakcja, tym więcej okazji do świętości.

Byli święci mnisi, którzy się nie wyróżniali niczym oprócz tego, że heroicznie praktykowali wszelkie cnoty, o których zbyt często zapominamy we współczesnym świecie. W ogóle zapominamy, że nad świętością trzeba pracować. Święta Teresa od Dzieciątka Jezus zmarła w wieku bodajże dwudziestu dwóch lat w klasztorze na gruźlicę, jak zresztą tysiące ludzi w tamtym okresie, i niczym się nie zasłużyła dla Kościoła, wydawałoby się, a jednak została jedną z największych współczesnych świętych i doktorem Kościoła.

Siostra nie ma wrażenia, że nasza kościółkowa estetyka trochę upupia, przesądza świętych?

Oczywiście, że tak. Staramy się odebrać świętym to – jak mówi Szymon Hołownia – co na pewno mieli. To byli odważni i radykalni ludzie. Tymczasem ta przybliżona estetyka wyraża chyba naszą tęsknotę za czymś łagodnym, pełnym pokoju. Święty Jan Bosco przewrócił się w pewnym momencie na ulicy ze zmęczenia i wtedy na pewno nie miał uśmiechu na twarzy i aureoli nad głową. Po świętym Benedykcie Labre łążyły wszy i umierał

w wieku trzydziestu paru lat na schodach kościoła Matki Boskiej Śnieżnej, był po prostu żebrakiem. Więc chyba słodziutki i piękniutki nie był. Brat Albert, kiedy umierał na raka, poprosił o cygaro i na pewno nie był wtedy kimś cukierkowym, tylko potwornie cierpiącym, starym człowiekiem. Jan Paweł II podobnie. My usiłujemy ten trud i cierpienie wymazać. To byli ludzie z krwi i kości. Święty Hieronim był takim cholerykiem, że kamieniami się bił po piersiach, gdy kolejny raz w niecenzuralnych słowach zjechał jakiegoś swojego przeciwnika teologicznego.

W wierze jest przestrzeń na bardzo różne typy świętości, również na takie, o które się dziś kłócimy. Papież Jan Paweł II, Oskar Romero, Dorothy Day – to święci, którzy nie idą w parze, a nawet kłócili się ze sobą za życia.

Zgadza się. To się zaczęło już od świętego Piotra i świętego Pawła. Błogosławionymi są założyciel michalitów, ksiądz Bronisław Markiewicz, i biskup, który całe życie mu dokuczał. Dokuczał w dobrej wierze. Biskupowi wydawało się, że ma być tak, a nie inaczej, a Markiewicz miał swoje zdanie. Tak bywa bardzo często, bo każdy ma swoją wizję służenia Kościołowi. Wizja, która nie jest oparta na miłości Boga i bliźniego, to nie jest wizja Kościoła, ale mogą być sytuacje, że ludzie dochodzą do świętości, uparcie trzymając się swej wizji i realizując miłość w sposób zupełnie różny. To jest fantastyczne. Właśnie dlatego Kościół jest powszechny, bo jest w nim miejsce i dla Mulata, świętego Marcina, i dla księcia Kazimierza.

Posłuszeństwo: tylko niech się biskup do garów nie wtrąca

Patrząc na niektórych świętych, można dojść do wniosku, że świętość wykuwa się trochę wbrew Kościołowi im współczesnemu. Jak spojrzymy na brata Alberta Chmielowskiego, to widzimy, że nie miał łatwego życia z Kościołem. Łącznie z tym, że nie przyjęli go do jezuitów.

Na szczęście.

Albo biskup Romero. Papież ostatnio powiedział, że był kopany i oczerniany przez braci kapłanów nie tylko za życia, ale i po śmierci.

Zgadza się. Niedawno została beatyfikowana australijska zakonnica, która w pewnym momencie została ekskomunikowana za to, że w sposób stanowczy broniła prawdy w Kościele. Rzecz dotyczyła kwestii obyczajowej. Ówczesny biskup ją ekskomunikował i dopiero następny zdjął z niej ekskomunikę. Bardzo często tak bywa. Święci często wyprzedzają epokę i rozumienie pewnych rzeczy, są jakby światłem i drogowskazem, a dopiero później Kościół odkrywa, że ta droga jest właściwa. Albo cały czas, nie robiąc tego celowo, prowokują swoje środowisko, poruszając zastaną wodę w stawie. A wiadomo, że jak się poruszy wodę w stawie, to niekoniecznie wszyscy są zadowoleni – bo topią się owady, które sobie pięknie pływały po powierzchni, bo brud wychodzi spod spodu, bo trzeba trzymać łódkę, żeby się nie kiwała. To jest to napięcie pomiędzy instytucją a charyzmatem, które cały czas istnieje.

Przy czym trzeba zwrócić uwagę na jedną rzecz – święci nigdy nie odchodzili z Kościoła, jak święty Franciszek z Asyżu, który żył w czasach, kiedy bogactwo i władza w Kościele się przelewały, nigdy go nie atakowali. Oni swoim życiem pokazywali drogę. Na ogół święci byli bezgranicznie posłuszni władzom kościelnym. To jest bardzo ciekawe. Droga do świętości to jest droga postuśczeństwa, nawet jeżeli, jak w przypadku świętego Jana Vianneya, biskup każe zamknąć sierociniec. Święty Jan powiedział wtedy, że w jakimś sensie będzie to wola Boża i że jak posłucha, to wyjdzie to na dobre, choć uważał, że biskup nie miał racji.

Nie oznacza to, że nie można negocjować. Błogosławiony ojciec Brottier, który jest patronem naszej świetlicy, to Francuz, który w okresie międzywojennym zbierał dzieciaki z ulicy. Biskup przyszedł do niego i powiedział mu, że oszalał, bo nie ma pieniędzy, a dzieci na pęczki i nie ma co z nimi robić. Brottier nie miał kasy i równocześnie zawsze ją miał, bo znajdowała się w ostatniej chwili, kiedy była taka potrzeba. I wydarzyło się coś takiego: podczas rozmowy z biskupem weszła zrozpaczona matka i prosiła ojca Brottiera, żeby przyjął ją i jej dziecko, bo nie stać jej było na jego utrzymanie, a nie chciała, żeby się dzieciak włóczył po ulicy. Wtedy on spojrzał na nią i powiedział, żeby się zwróciła do księdza biskupa. Jaki z tego wniosek? Łatwo jest mówić: „Nie rób”, tylko że jak stanie przed tobą człowiek, to trochę trudniej odmówić. Wtedy biskup zrozumiał, poszedł sobie i przestał się czeptać. To jest ciekawe, że święci nigdy nie atakowali władz Kościoła, choć często mieli z nimi kłopoty.

Ale jak spojrzymy na świętą Katarzynę ze Sieny, to ona potrafiła...

...zrąbać papieża. Potrafiła zrąbać papieży, raz słodko, raz mniej słodko, ale to nie oznacza, że nie była posłuszną Kościołowi. To są dwie różne rzeczy. Ja mam prawo pójść do biskupa i powiedzieć mu spokojnie, że uważam tak, a nie inaczej, natomiast nie mam prawa opluwać go publicznie i odmawiać mu posłuszeństwa. Jeśli jednak biskup, wysłuchawszy mnie, powie, że mam zamknąć wszystkie domy Wspólnoty Chleb Życia, to wtedy mogę negocjować i się odwoływać. Ale ostatecznie mam posłuchać. Na tym polega posłuszeństwo. Nawet jeśli by się zdarzyło, że biskup nie ma racji, że jest nieroztropny, to moim posłuszeństwem Pan Bóg się posłuży do zrobienia czegoś lepszego. Jeśli się zamknie jedną drogę, to Bóg natychmiast otwiera drugą. Hipotetyczne zamknięcie wszystkich domów wspólnoty byłoby dla mnie sygnałem, że należy szukać innej drogi. Trzeba się zastanowić, co Pan Bóg chce przez to powiedzieć. Posłuszeństwo Kościołowi, nauce Kościoła, hierarchii, oczywiście wtedy, kiedy hierarchia ma prawo się wtrącać do czegoś, to jest warunek. Żaden biskup tego nie robi, ale gdyby jakiś przyszedł i powiedział, że mam postawić garnek w poprzek, a ja wiem, że mi się wtedy kuchenka gazowa popsuje, to nie obowiązuje mnie w tym momencie posłuszeństwo, bo to nie jest zakres jego władzy. Kuchnia to zakres władzy mojej i pani Anny.

Nie oznacza to jednak, że ze strony hierarchów nie zdarzają się nadużycia władzy. Założyciel Ruchu Szensztackiego, katolickiej wspólnoty, który zasłynęła między innymi szkoleniami dla małżeństw, spędził na wygnaniu

w Ameryce Południowej chyba z dziesięć lat. I spędził je tam odcięty od kontaktu ze swoimi wspólnotami, które pozakładał. Posłuchał i pojechał, a ruch się pięknie rozwinął. Założycielka Małych Sióstr Jezusa, siostra Madeleine, też miała potworne problemy z hierarchią.

Mamy też podobne przypadki w Kościele w Polsce.

Ksiądz Boniecki jest przykładem człowieka posłusznego Kościołowi, nawet wtedy gdy Kościół w oczach wielu nie ma racji. Moim zdaniem przełożeni zakonnicy nie mają racji, nie pozwalając się wypowiadać publicznie księdzu Adamowi, choć absolutnie bulwersujące wypowiedzi innych księży są dopuszczane do mediów. Ale to zupełnie inna sprawa. Ksiądz Boniecki na pewno jest człowiekiem Kościoła. Niekoniecznie musimy się z nim zgadzać w stu procentach w ocenie chociażby bieżących wydarzeń, ale ma do tego prawo. On potrafi przełożyć Ewangelię na język dzisiejszy, wprowadza pokój i pojednanie, a nie rozdarcia i pogardę. Czegoś takiego nam naprawdę potrzeba.

Łajdacy i rozpustnicy: dla nich też jest nadzieja

Gdyby trzymać się w Kościele literalnie prawa, zasad, to miejsce takie jak to tutaj mogłoby nie powstać. Albo jeśli spojrzymy na historię wspomnianej Dorothy Day, którą Franciszek postawił za wzór w trakcie przemówienia w Kongresie USA, to ona nie dość, że współpracowała z komunistami, feministkami...

...ale prawo kanoniczne tego nie zabrania.

Ale dokonała też aborcji. A teraz trwa jej proces beatyfikacyjny. Chodzi nam o to, że my, zwłaszcza w polskim Kościele, uważamy, że sprawiedliwość jest najważniejsza i nie ma przebaczenia. A taka postawa odbiera świętości animusz, który miała choćby Dorothy Day. Ona odchodziła od twardej interpretacji zasad. Miała coś więcej.

Miała przede wszystkim Ewangelię. Trzeba jasno powiedzieć, że człowiek nie rodzi się świętym. Świętość to jest droga. W historii Kościoła było tysiące świętych, którzy wcześniej byli łajdakami, na przykład święty Ignacy Loyola.

Świętość osiągnęli dlatego, że w pewnym momencie się po prostu nawrócili i zostawiwszy poprzednie życie, jakiegokolwiek by ono było, żałując za swoje błędy i wierząc, że Chrystus jest miłosierny i im przebaczył, poszli do przodu. I nowe życie całkowicie poświęcili Bogu i drugiemu człowiekowi. To działa w tej kolejności. Nie odwrotnie. I jeszcze, co bardzo ważne, odpowiedzieli na potrzeby czasów, w których żyli, w sposób, który w ich kulturze, w ich mentalności był odpowiedzią najwłaściwszą.

W przypadku Dorothy Day było dokładnie tak samo. Ona odpowiedziała na potrzeby bliźnich z powodu Boga i szła tam, gdzie pewnie poszedłby Chrystus, a gdzie inni nie mieli odwagi pójść lub też uważali, że nie warto. Świętość to jest cały czas naśladowanie Chrystusa, nic innego. W sposób, który podpowie mi Duch Święty, i w zgodzie z czasami, w których żyję.

Dokonanie aborcji jest oczywiście grzechem ciężkim, ale Pan Bóg nie powiedział, że takiego grzechu nie przebaczy, jeśli człowiek żałuje. Mordercy też szli do nieba,

a pierwszym był łotr na krzyżu. Niedawno rozpoczął się proces beatyfikacyjny młodego Francuza, który został skazany na śmierć za morderstwo. Jacques Fesch się nazywał. Jest taka książka *Za pięć godzin zobaczę Jezusa*, która o nim właśnie opowiada. I to jest dla nas nadzieja. To oczywiście nie oznacza, że należy najpierw potwornie nagrzeszyć, że każdy musi odbić się od dna. Moim mieszkańcom, którzy czasami wiele błędów w życiu popełnili, jakąż mogą dać nadzieję, jak nie przykłady ludzi, którzy tkwili często w jeszcze gorszym bagnie niż oni, a jednak zostali świętymi. Właśnie po to nam Kościół tych świętych daje, po to ich oficjalnie beatyfikuje czy kanonizuje. Te kosztowne imprezy na placu Świętego Piotra nie są po to, żeby im namalować aureole, im przecież to już nie jest potrzebne. To jest nam potrzebne.

Siostra zna Dorothy Day?

Oczywiście osobiście jej nie znałam, ale znałam jej pisma, zanim jeszcze stała się modna. Tacy ludzie jak Romero, Dorothy Day, Karol de Foucauld, który w Polsce jest tak naprawdę mało znany, to nie byli ministranci. Karola wyrzucili ze szkoły wojskowej za niemoralne prowadzenie się. Ale gdy się nawrócił, to się tak nawrócił, że bardziej nie można. Karol jest przykładem życia radykalnie przemienionego po spotkaniu z Chrystusem.

Siostra mówi, że Karol de Foucauld jest mało znany, ale wydaje mi się, że nawet jeśli byłby szerzej znany, to może niekoniecznie byłby popularny ze względu...

...na jego związki z islamem.

Kiedy u nas mówi się o islamie, to zazwyczaj w kontekście konieczności nawracania na katolicyzm. A on poszedł, po prostu zamieszkał między nimi i niczego nie osiągnął. A jednak Kościół stawia go za wzór.

On zawsze powtarzał, że jeśli ziarno pszeniczne nie obumrze, to nic z tego nie będzie. Świętość nie polega na tym, że się robi wielkie i spektakularne dzieła, bo wtedy świętym nie zostałby święty Romuald, założyciel kamedułów, i wielu pustelników i mistyków. Przy takim sposobie myślenia klasztory kontemplacyjne nie miałyby sensu. Świętość polega na miłości. Święta Teresa od Dzieciątka Jezus, święta Teresa z Ávili, bardzo wielu świętych mnichów i pustelników nam to pokazało.

Wracając do Karola. Jego drogą było oddanie życia za muzułmanów, modlitwa za ludzi, których traktował jak braci. To jest bardzo trudne do zrozumienia, ten jego stosunek do ludzi innych, kimkolwiek by byli. Szczególnie w polskim Kościele jego postawa jest trudna do przyjęcia. Wydawałoby się, że jego śmierć niczego nie przyniosła, a jednak kilkadziesiąt lat później jego myślą zafascynowało się dwoje ludzi i powstały zgromadzenia, które funkcjonują do dzisiaj i których ideą jest życie wśród niewierzących, ubogich, wśród ludzi wykluczonych. Życie modlitwą i braterstwem. Nie nawracanie, nie tworzenie dzieł charytatywnych, lecz życie w braterstwie. Dlatego małe siostry wędrują z ekipą cyrku albo mieszkają na Saharze.

Albo w Krakowie w Nowej Hucie.

I to w zwykłym mieszkaniu. Dawały się zamykać do więzienia, żeby żyć jakiś czas z więźniarkami. Są wszędzie

tam, gdzie są ludzie ubodzy i po prostu chcą wśród nich być i za nich się modlić. Cicha obecność. To można zrozumieć wyłącznie na płaszczyźnie wiary. Również ci zamordowani w Algierii trapiści doskonale to rozumieli.

Nakręcono o nich film *Ludzie Boga*. Jeden z tych trapistów napisał niesamowity list, w którym zdradza, że modli się za tych, którzy niedługo przyjdą i go zabiją.

Myślę, że to jest trudne do przyjęcia i zrozumienia, ale to jest właśnie świętość, w której kocha się nieprzyjaciół traktowanych jak błędzący bracia, za których też umarł Chrystus. To jest miłość heroiczna do tego stopnia, że nie mamy do wrogów nienawiści, lecz ofiarowujemy za nich życie. Pojęcie ofiary w naszej konsumpcyjnej cywilizacji zostało kompletnie zaniechane, bo my chcemy mieć wszystko szybko, tanio i bez wysiłku, a nie ma chrześcijaństwa bez krzyża. Zmartwychwstanie było po, a nie przed krzyżem.

Przykład Karola de Foucauld w ogóle jest ciekawy. Dzisiaj rano czytałem fragmenty jego pism, gdzie pisze, że jednym z bodźców, który popchnął go do nawrócenia, była modlitwa muzułmanów, którzy oddychają Panem Bogiem. To go zainspirowało później do czytania Słowa Bożego.

Tak było. To był facet, który w Paryżu poszedł do księdza i poprosił go, żeby ten powiedział mu o wierze katolickiej. A ten odparł: „Chodź do konfesjonału!”. I on to zrobił. To był początek. On po prostu miał odwagę uklęknąć. Dlaczego? Bo tak naprawdę wszystkie szaleństwa, których dokonywał w życiu, to było rozpaczliwe

poszukiwanie absolutnej miłości. Bardzo często tak bywa, że ucieczki w seks, narkotyki, konsumpcję, adrenalinę są próbą zaspokojenia tego pragnienia miłości, które zostało nam dane przez Pana Boga, na obraz którego zostaliśmy stworzeni. Gdy Karol w końcu dojrzał do nawrócenia – a Pan Bóg prowadzi czasami drogami bardzo okrężnymi – to poszedł na całego. To był facet, dla którego nie było półśrodków.

Przeszedł od dwudziestu panienek do żadnej. Potem był u trapistów, od których odszedł, bo zauważył, że trochę rozluźnili regułę i na Wielkanoc chleb zaczęli smarować masłem.

A co robił święty Ignacy Loyola po swoim nawróceniu? Żył w jakiejś jaskini, prawie w ogóle się nie mył, niemal nic nie jadł. Pan Bóg musi wyczyścić pewne rzeczy w człowieku i człowiek w sobie, dlatego trzeba spędzić trochę czasu na pustyni. Stąd nowicjaty w zgromadzeniach zakonnych. Nowe życie nie przychodzi tak od razu, to jest walka. Oczywiście walka do końca życia. Świętość nie przychodzi nagle, chyba że przez męczeństwo. Święty Andrzej Bobola nie był wspaiałym mnichem, a jednak został jednym z największych świętych polskiego Kościoła. Przez męczeństwo właśnie.

Czy Wspólnota Chleb Życia ma jakieś cechy wspólne z Catholic Worker założonym przez Dorothy Day? Na przykład w sposobie myślenia o wykluczonych, o potrzebujących?

Na pewno. Wszyscy, którzy naśladują Chrystusa i głoszą Ewangelię ubogim, robią to w gruncie rzeczy podobnie. Jean Vanier ze swoją Arką, gdzie ludzie żyją

i mieszkają razem z osobami niepełnosprawnymi, małe siostry i mali bracia, którzy żyją wśród najuboższych i w ich imieniu się modlą, adorując Najświętszy Sakrament, Dorothy Day, która żyła w slumsach i starała się pomóc ich mieszkańcom odzyskać godność oraz mówiła światu, że to są też ludzie – oni wszyscy działali podobnie. I to samo jest z nami. To nie jest tak, że droga Wspólnoty Chleb Życia jest kompletnie dziwną, nową drogą. Mamy pewien specyficzny styl, specyficzną duchowość. Ale to wszystko mieści się w Tradycji Kościoła i jest odpowiedzią na konkretne potrzeby danych czasów. Myślę, że Dorothy Day dzisiaj zamieszkałaby jak nasze siostry wśród Indian Keczua w Puszczy Amazońskiej albo w obozie dla trędowatych w Nigrze.